SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 110 13 WRZEŚNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

SAT–OKH, syn wodza Szewanezów, autor „Ziemi Słonych Skał" opowiada indiańską legendę na str. 5.

Za tydzień spotkanie z pisarzem.

„Ciekoty - 75" *czyli harcerze–pisarzowi*

KIELCE (HSI). Kolejny rok harcerze z Kieleckiej Chorągwi ZHP uczestniczą w akcji „Ciekoty". Hasło to oznacza wiele pożytecznych działań związanych z uczczeniem pamięci bohatera chorągwi – Stefana Żeromskiego. Uczestnicy tegorocznych obozów poświęcili swój czas etnograficznym, dialektologicznym, geograficznym i socjologicznym badaniom Doliny Wilkowskiej, w której leżą Ciekoty. W tych niełatwych zadaniach pomagali harcerzom studenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej pod naukowym nadzorem pracowników uczelni. **(mh)**

Pożyteczna akcja KM MO i harcerzy

DROGOWE ABC...

PIOTRKÓW TRYB. (HSI). Wrzesień zwiększa niebezpieczeństwo na drogach prowadzących do szkół. Aby zmniejszyć ilość wypadków Wydział Ruchu Drogowego KM MO w Piotrkowie – zorganizował tradycyjną już akcję „Bezpieczna droga do szkoły". Włączyli się do niej harcerze, a zwłaszcza członkowie Młodzieżowej Służby Ruchu. Będą oni uczyć swych młodszych kolegów zasad ruchu drogowego, pełniąc codzienne dyżury przy przejściach dla pieszych w czasie rozpoczęcia i po zakończeniu zajęć szkolnych. **(mh)**

Minikary na start!

Rodzinne hobby

Na pierwsze Ogólnopolskie Zawody Minikarów, które rozgrywane były w 1972 roku w Warszawie przyjechał wraz z kolegą – Markiem Kosznikiem. To on namówił go, by spróbował swych szans w mało wówczas znanej dyscyplinie sportu. Udostępnił mu własny minikar, służył radą. Debiut w silnej krajowej konkurencji był bardzo udany. Tomek Jankowski, bo o nim mowa, zajął w zawodach szóste miejsce.

Do domu wrócił z głową pełną wrażeń i pomysłów. Udało mu się namówić ojca do pomocy przy budowie własnego pojazdu. Obaj z zapałem zabrali się do pracy. Tomek odwiedzał pobliskie składy złomu, wyszukując potrzebne części, zaś pan Leszek Jankowski skrzętnie gromadził plany minikarowych konstrukcji. Po miesiącu obaj byli gotowi. Nastąpił okres żmudnej dłubaniny. Każde wolne popołudnie spędzali w garażu składając poszczególne części minikara. Wreszcie po sześciu miesiącach ich dzieło ujrzało światło dzienne.

Na drugich Ogólnopolskich Zawodach Minikarów w Zielonej Górze Tomek Jankowski wystartował na własnym pojeździe. Czasy jakie uzyskiwał podczas treningowych biegów wróżyły mu miejsce w ścisłej czołówce. I tak się stało. Został wicemistrzem Polski na rok 1973, uległ tylko i to nieznacznie Andrzejowi Rapaczowi, który został zwycięzcą.

Zmagania Tomka bacznie śledziła jego młodsza siostra Katarzyna. Pewnego dnia, gdy nie było w domu brata wyprowadziła minikar z garażu i zasiadła za kierownicą. Ten dziwny wehikuł tak bardzo przypadł jej do gustu, że... teraz w trójkę przesiadywali w garażu. Trzeba było przystosować pojazd Tomka dla Kasi. Zaś Tomek z ojcem budowali nowy minikar. Jako rodzeństwo zadebiutowali w 1974 roku na III zawodach minikarów. Tomek zajął czwarte miejsce, zaś Katarzyna najmłodsza uczestniczka zawodów, była w swej grupie piąta.

DALSZY CIĄG NA STR. 4

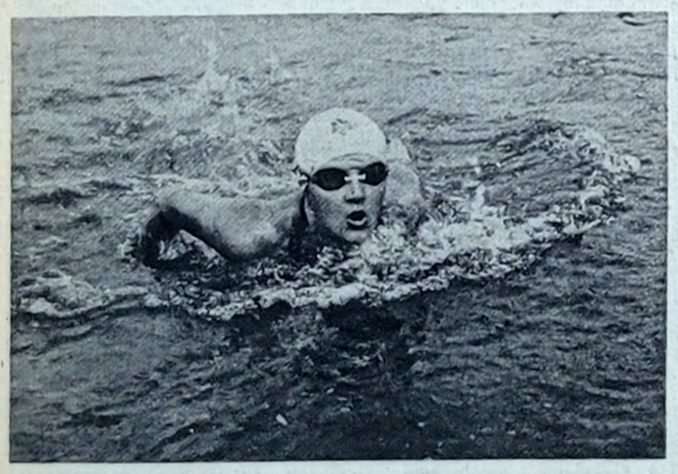

POLKA PRZEPŁYNĘŁA KANAŁ LA MANCHE

Niebywałego wyczynu dokonała polska pływaczka Teresa Zarzeczańska, która przepłynęła kanał La Manche. Wypłynęła ona 30 sierpnia z Dover z Anglii i po 11 godzinach i 10 minutach samotnej walki z żywiołem, zameldowała się w Calais we Francji. Wynik, który uzyskała jest rekordem krajów socjalistycznych. O umiejętnościach polskiej pływaczki najlepiej świadczy fakt, że niedawno dwaj Czechosłowacy również przepłynęli kanał La Manche ale w czasie gorszym o 2,5 godziny. Naszej zawodniczce zabrakło tylko kilka minut, by ustanowić rekord świata, ale jak sama zapewnia spróbuje to uczynić w roku przyszłym. **(ds)**

Zdjęcie: **CAF**

Na Kamiennych Schodkach można wieczór spotkać
Oprawiony w ramę ręką mistrzów starych.
Tu gwiazdy masz same, bez wrzawy reklamy,
Co strzela neonem ponad szkło i beton.
I tutaj wieczorem każdy jest poetą...

J. GOSTKOWSKI

Fotoreportaż M. Szymańskiego i K. Adamowskiego zamieszczamy na str. 3.

Dziś przedstawiamy:

PANAMA

Zapasami Guliwera z Goliatem nazywa się uporczywą walkę Panamy przeciwko Stanom Zjednoczonym prowadzoną już od 11 lat. W tym czasie USA panujące nad kanałem od początków tego stulecia, pod naporem Panamy i opinii innych państw Ameryki Łacińskiej, dokonały pewnych koncepcji m. in. zwiększyły udział Panamy w zyskach z eksploatacji kanału, odstąpiły część jego strefy, a także przestały kwestionować panamskie prawa do suwerenności nad tym obszarem.

Podstawowe problemy są jednak ciągle otwarte. Nie uzgodniono np. daty odzyskania przez Panamę pełnych praw do kanału, daty likwidacji baz amerykańskich, której pierwszym etapem była stopniowa redukcja sił zbrojnych stacjonujących w strefie.

Z dużym zainteresowaniem światowej opinii publicznej spotyka się postępowa polityka społeczno-gospodarcza prowadzona przez gen. Omara Torrijosa. Pierwszym krokiem na drodze tych przemian było ograniczenie wpływów United Brands, największego koncernu północnoamerykańskiego, kontrolującego prawie w całości plantacje, skup i eksport bananów. W lipcu br. doszło do porozumienia, na mocy którego Panama przejmie całe mienie koncernu, który przez 10 lat eksploatował najlepsze ziemie w kraju. Porozumienie to przewiduje m. in. utworzenie wspólnego aparatu kierowniczego koncernu, wraz z ludźmi wyznaczonymi przez Panamę dla przygotowania kadr narodowych. Innym sukcesem w walce z wszechwładnym dotąd koncernem było zmuszenie United Brands do płacenia rolnikom podwyższonej stawki za banany.

Obecnie we wschodniej części kraju rząd przeprowadza reformę rolną, buduje drogi, wodociągi, które pozwolą na zagospodarowanie tych terenów, leżących dotąd odłogiem. Program reform objął także przemysł. Znacjonalizowano przedsiębiorstwo północnoamerykańskie, które miało monopol na produkcję i dystrybucję energii elektrycznej. Powstaje ogromna cementownia i cukrownia, planuje się modernizację wydobycia rudy miedzi, co w efekcie powinno przynieść przewyższenie całego dotychczasowego wpływu z handlu zagranicznego. 25 procent wpływów do skarbu państwa stanowią zyski z kanału, chociaż część jaką USA przekazują Panamie jest mała w porównaniu z całością zysków. W najbliższym czasie ruszy budowa naftociągu, łączącego wybrzeże Morza Karaibskiego z wybrzeżem Pacyfiku. (bz)

BANGLADESZ — wielka niewiadoma

POZORNIE wydawało się, że prezydent Mudżibur Rahman cieszy się najwyższym uznaniem swego narodu i co więcej, że uchodzi w jego oczach za bohatera. Takie mniemanie mógł mieć każdy, kto zna historię powstania Bangladeszu i błyskawiczną karierę jego przywódcy, szejka Mudżibura. Cofnijmy się zatem do roku 1947, bowiem był to rok przełomowy dla całego subkontynentu indyjskiego.

Jak wiadomo, Półwysep Indyjski przez długie lata okupowany był przez Wielką Brytanię. Ale po drugiej wojnie światowej utrzymywanie tej kolonii stało się już niemożliwe. Właśnie w 1947 roku narody półwyspu otrzymały samodzielność. Żeby jednak szczęścia nie było za dużo, Anglicy, odchodząc podzielili dawną kolonię na dwa państwa — Indie i Pakistan. Przy tym podziale, nie kierowano się względami etnicznymi, historycznymi, gospodarczymi i językowymi, a religijnymi. Była to oczywista bzdura, która wkrótce miała zaowocować długotrwałymi wojnami między hindustycznymi Indianami a muzułmańskim Pakistanem.

Podział ten zawierał jeszcze jeden nonsens, tkwiący wewnątrz samego Pakistanu. Otóż państwo to składało się z dwóch prowincji, Pakistanu Wschodniego i Pakistanu Zachodniego, oddzielonych od siebie terytorium Indii o szerokości 1600 km. Pakistan był więc tworem sztucznym, wewnętrznie skłóconym. Musiało to doprowadzić do rozpadu. Stało się to w wyniku wojny domowej w 1971 roku, w której decydującą rolę odegrała pomoc militarna Indii dla Wschodniego Pakistanu. Walki partyzanckie przerodziły się w otwartą wojnę. Po 2 tygodniach, 16 grudnia 1971 r., armia pakistańska (z zachodniej prowincji) skapitulowała. Tak narodziło się nowe państwo, które przyjęło nazwę Bangladesz. Jego prezydentem obwołano jednogłośnie szejka Mudżibura Rahmana, przebywającego wówczas w więzieniu w Pakistanie Zachodnim i skazanego na karę śmierci. Wyrok nie został jednak wykonany.

Wielka popularność szejka wzrosła jeszcze bardziej. Bengalczycy uważają go odtąd za niezłomnego bojownika i twórcę Bangladeszu, za pierwszego obywatela, za „ojca narodu". Zresztą na te wszystkie względy Rahman uczciwie zasłużył.

Problem wyżywienia jest dla Bangladeszu ciągle najistotniejszy.

MÓWIĄC o swych poglądach politycznych, szejk Mudżibur Rahman twierdził, że zamierza zbudować świeckie państwo socjalistyczne oraz że jego wzorcami byli m. in. Abraham Lincoln, Lenin i Mao Tse-tung. Przystępując do realizacji swych idei upaństowił duże zakłady przemysłowe przetwarzające jutę (główne bogactwo kraju), a także włókiennicze, cukrownie itp.

Szejk ogłasza także reformę rolną, która mogła całkowicie przeobrazić strukturę kraju. Trzeba bowiem wiedzieć, że Bangladesz jest najludniejszym państwem świata (ponad 500 osób na kilometr kwadratowy) i głód ziemi jest tam ogromny. Niestety, reformy praktycznie nie było żadnej, zdołano wygospodarować zaledwie 175 tys. ha ziemi, którą rozdzielono między garstkę bezrolnych chłopów. Była to przysłowiowa kropla w morzu potrzeb.

Niezadowolenie wśród biedoty wiejskiej rośnie i osiąga swój szczyt w 1974 r., kiedy to Bangladesz nawiedziła straszliwa powódź. Niemal cały kraj — położony w delcie dwóch potężnych rzek, Gangesu i Brahmaputry — znalazł się pod wodą. Nędza milionów przerodziła się w głód i śmierć setek tysięcy.

W tej ciężkiej sytuacji kraju ujawniła się w pełni połowiczność reformy Rahmana, jego niezdecydowanie. Od tego momentu popularność „ojca narodu" gwałtownie spada, chociaż on wierzy w nią do samego końca.

Na niewiele przydało się również utworzenie nowej partii BAKSAL, czyli Ludowej Partii Chłopów i Robotników Bangladesz, powstałej z Ligi Awami oraz komunistów i członków postępowej Narodowej Partii Ludowej. BAKSAL, wbrew rewolucyjnej nazwie, była kontynuacją dawnej Ligi Awami opanowanej przez oportunistów, cwaniaków i karierowiczów. Oni właśnie nadal zajmowali kluczowe stanowiska w państwie, o czym szejk Rahman wiedział, bo sam posady te rozdawał. W końcu musiało to doprowadzić do tragedii — zamordowania w dniu 15 sierpnia br. prezydenta Mudżibura Rahmana.

ZAMACHU dokonała grupa wojskowych, która natychmiast powołała na stanowisko prezydenta **Chodakkara Musztaka Ahmeda**, głęboko wierzącego muzułmanina.

Nowy przywódca Bangladeszu był od wielu lat jednym z najbliższych współpracowników Rahmana. Bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości sprawował obowiązki ministra spraw zagranicznych, lecz później został odsunięty na podrzędniejsze stanowisko, gdyż uchodził za zwolennika rokowań z Pakistanem. Oskarżenie wówczas kogoś o sympatie propakistańskie równało się ze zdradą stanu. Jedynie wzgląd na „dawne zasługi" nie spowodował postawienia Ahmeda przed sądem.

WTEJ CHWILI za wcześnie jeszcze na wyciąganie wniosków co do przyszłej polityki nowej ekipy rządowej. Z oświadczeń radiowych wynikałoby, że Musztak Ahmed ma zamiar respektować konstytucję i główną linię rozwojową kraju nakreśloną przez jego poprzednika. Ale nie jest to takie pewne.

Po dwóch tygodniach rządów nowy prezydent rozwiązał jedyną partię w kraju — BAKSAL. Unieważnił też nowy podział administracyjny państwa, który miał obowiązywać od 1 września br.

Prezydent Ahmed ogłosił również kilka znamiennych decyzji personalnych. Stanowisko sekretarza rządu, kluczowe dla codziennej pracy administracji państwowej, otrzymał Szaflul Azam. Sprawował on taką samą funkcję we władzach dawnego Pakistanu Wschodniego w okresie wojny 1971 roku. Po uzyskaniu zaś niepodległości Azam utracił prawo piastowania jakichkolwiek funkcji rządowych. Obecnie będzie on dodatkowo przewodniczył tzw. centralnej radzie doboru kadr, która ma dokonywać selekcji kandydatów na wszystkie ważniejsze stanowiska w państwie.

Ahmed zwolnił też z więzienia grupę polityków prawicowych aresztowanych w okresie rządów Mudżibura Rahmana za działalność antypaństwową.

Wiele mówi także fakt błyskawicznego uznania nowego rządu przez Pakistan i Chińską Republikę Ludową.

Powyższe fakty świadczyłyby, że nowe władze Bangladeszu mają zamiar sterować polityką bardziej na prawo. Jeśli tak rzeczywiście miałoby się stać, nie wróżymy zbyt długiego żywota ekipie Ahmeda. Jedynym rozsądnym obecnie rozwiązaniem dla Bangladeszu powinna być głęboka reforma stosunków na wsi, tak, aby plony ziemi były dzielone możliwie sprawiedliwie, między miliony zabiedzonych Bengalczyków.

ST. BOROWIECKI

Cały dobytek na jednym wózku.

Ulica w stolicy kraju, Dhakce.

Bieg dookoła kołka...

Wydawałoby się, że popularnie zwana „szmacianka" bezpowrotnie do historii przeszła. No, bo któżby w dobie komputerów i lotów kosmicznych jakąś nylonową pończochę trocinami napychał... W dodatku, jak na ojczyznę trzeciej w świecie piłkarskiej jedenastki, nawet nie wypada, by następcy Laty, Deyny, Tomaszewskiego czy Gadochy byle co na boisku kopali!

A jednak... Gonitwy za szmacianką odbywają się jak za dawnych „dobrych czasów". Nie, nie dlatego, że porządnej piłki kupić nie można, tylko że nie każdy indywidualnie chce ją nabyć. No, bo i po co? A w szkolnych magazynkach sportowych przeważnie „puchy"! Nic dziwnego, bowiem o zaopatrzeniu w niezbędny sprzęt sportowy trzeba myśleć. A kto ma myśleć? Tacy wszyscy zalatani. Nie ma sprzętu — sprawa z głowy. I przepisów różnych gier wyznaczony pan do wf uczyć się nie musi...

„Pan od fizyki doskonale zna swój przedmiot, ale o grze w piłkę nożną nie ma zielonego pojęcia. A on właśnie prowadzi z nami wf!" — pisze Janek z okolic Makowa. „Pani od polskiego każe nam biegać na sznurku dookoła kołka — kto szybciej go nawinie. A my chcemy grać w siatkówkę i szczypiorniaka..." — skarży się Iwona z pilskiego.

Dobrze, gdy w gronie pedagogów szkoły jest pan magister „od wf", bo i duszę ma sportową i wie od czego sportową edukację zacząć. Ale takich speców jest mało, przeraźliwie mało! W szkołach. Bo w różnych urzędach jest ich sporo. Siedzą nad stosami papierków i sprawozdań ze... szkolnych imprez sportowych, w których zwykle uczestniczy grupka wybrańców — reprezentantów, na których barkach spoczywa odpowiedzialność za dobre imię szkoły. A reszta uczniów? Goni szmaciankę wokół kołka, biega od płota do płota w takt gwizdka „pana od wf" i jeszcze tam czegoś...

Program wychowania fizycznego i sportu w szkole mamy niezły, choć od lat iluś ciągle tymczasowy. I kadra zajmująca się tą dziedziną wychowania też jest ciągle tymczasowa. W tej sytuacji dobre jest chociaż to, że wśród niej znajdują się ci, którzy więcej niż inni dobrej woli i serca mają. Chwała im za to i ogromna wdzięczność, ale to nie zmienia faktu, że wychowanie fizyczne i sport szkolny do podskoków i gonitwy za piłką się ograniczają.

Trzeba komuś chyba przypomnieć, że kadra i baza, baza i kadra — to warunki, których kołek i szmacianka, ani też najlepsze chęci i wysiłki ludzi z poświęceniem, ale sportowych laików, nie zastąpią.

Może by jednak od zachwytów nad wynikami igrzysk młodzieży szkolnej i sukcesami nielicznych usportowionych szkół przejść do konkretnych rozwiązań? Jakich? Ano właśnie jakich! Nie mój resort, nie ja muszę się wysilać... A jednak! Może by tak kołek i szmaciankę na sprzęt z prawdziwego zdarzenia i w dostatecznych ilościach zamienić? Urządzić boiska — tu i ówdzie może nawet kosztem trawniczków i klombików? Kadrę „wf-istów" na jakichś zgrupowaniach sportowo-instruktażowych przygotować? A może magistrów po AWF-ach zamiast ze szkół do urzędów, z urzędów do szkół ściągnąć?...

Nie mój resort... Biegnę sznurek na kołek nawinąć, bo pan od fizyki dwójkę z wf gotów mi postawić...

RYSZARD RATAJCZYK

Pójść nocą na Stare Miasto

Fotoreportaż M. Szymańskiego, K. Adamowskiego

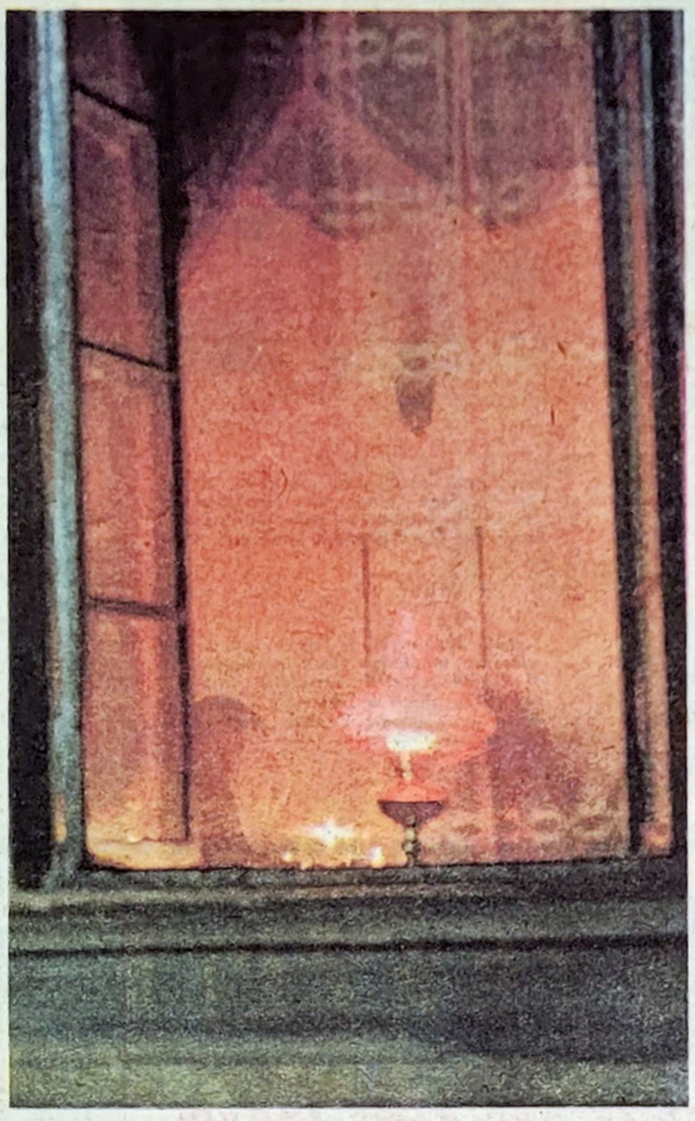

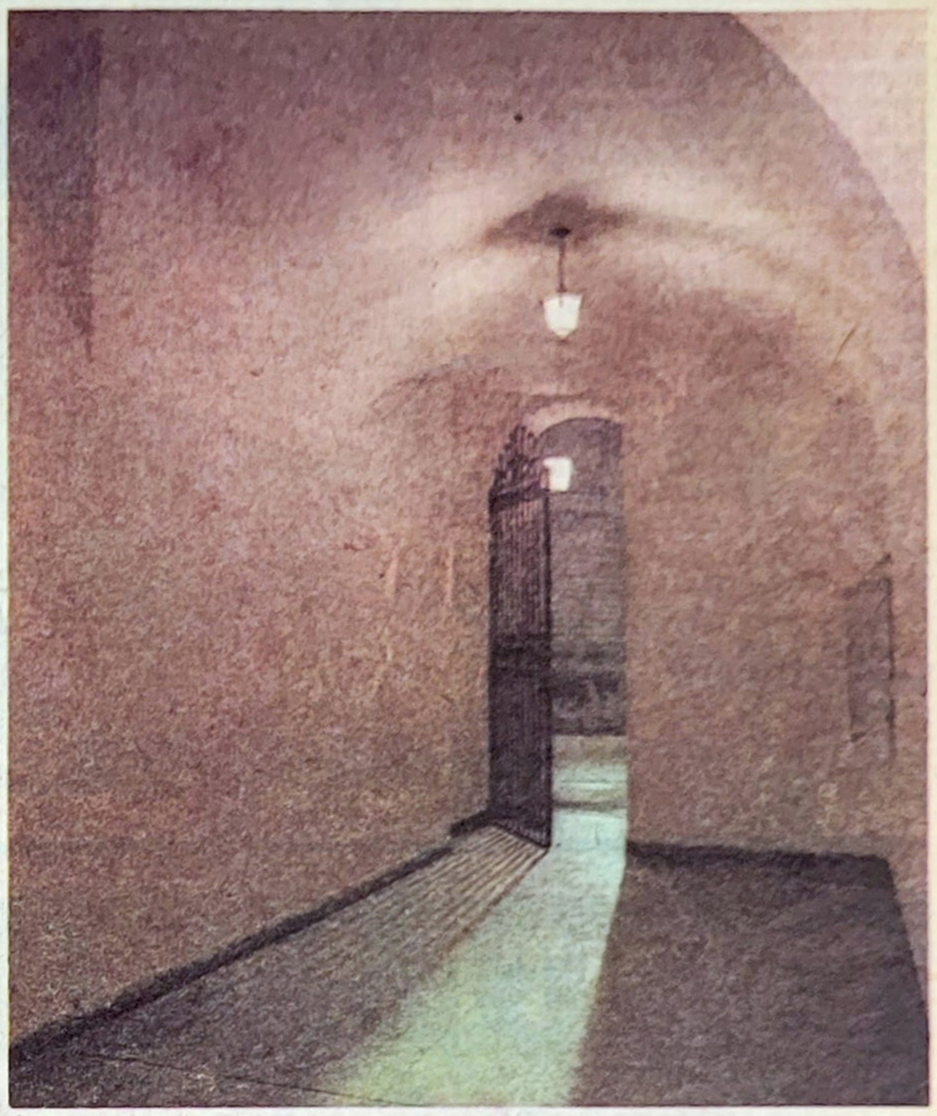

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

Rodzinne hobby

Do rozpoczęcia tegorocznych zmagań najlepszych minikarowców z całej Polski pozostało niewiele czasu. Odwiedziłem więc rodzinę Jankowskich, chcąc się dowiedzieć czy Tomek i Katarzyna wystartują w tym roku, jak się przygotowują do zawodów oraz czy z nową konstrukcją minikarów zdążą na czas?

Całą trójkę a więc: tatę, syna i córkę zastałem w garażu. Dwa nowe minikary, jakże bardzo odbiegające od poprzedniej konstrukcji, lśniły z daleka.

— Koła — objaśnia Tomek są specjalnie odlewane i wytłoczone z aluminium. Zbudowałem zupełnie nową osłonę minikara. Hamulce mam tarczowe. Chodziło mi przede wszystkim o to, by pojazd był maksymalnie przygotowany do warunków jakie panują na trasie. Ogumienie pozostało bez zmian. Będę startował na pneumatykach.

— Ale za to mamy niespodziankę — wtrąca ojciec Tomka i Kasi pan Leszek Jankowski. Udało mi się dostać specjalne rozregulowane łożyska. Zgłębiłem dość dokładnie tajniki minikarowej wiedzy. Koła, w obu pojazdach ustawiliśmy tak, że mają odpowiedni kąt zbieżności. Przerobiliśmy też całkowicie układ kierowniczy. Jest on tak skonstruowany, że przy dużym ruchu kierownicy następuje minimalny skręt kół. Udało mi się kupić smar silikonowy, który do maksimum zmniejsza tarcie. Sądzę, że nasze pojazdy będą miały teraz znacznie większą szybkość.

— To wszystko musiało sporo kosztować? Jak sobie z tym poradziliście?

Katarzyna Jankowska podczas startu do drugiego biegu we frankfurckich zawodach minikarów. Była jedną z najlepszych reprezentantek naszego kraju.

Tomek Jankowski w swym pierwszym własnym minikarze podczas startów w II Ogólnopolskich Zawodach Minikarów rozegranych w 1973 roku w Zielonej Górze, na których zdobył tytuł wicemistrzowski.

— Wydaliśmy wraz z Katarzyną wszystkie oszczędności, ale co to znaczy wobec oczekujących nas przygód na trasie w walce z krajowymi rywalami. Zresztą nie tylko pojazdy przygotowaliśmy należycie. Treningi rozpoczęliśmy już w zimie, oczywiście, jeżdżąc na nartach i sankach. Wakacje spędziłem na obozie żeglarskim. Oboje z siostrą sporo też jeździliśmy na rowerze. Nie ukrywam, że zamierzam walczyć o mistrzowski tytuł.

— Trenujemy codziennie, o tutaj w tym zeszycie notujemy co ćwiczymy na zajęciach — przerwała opowiadanie Tomka jego siostra Kasia. Trasę od opery leśnej do ul. 20 Października znamy na pamięć. Ćwiczymy głównie starty, gdyż one w dużej mierze decydują o zwycięstwie. Szkoda, że tegoroczne zawody nie będą rozgrywane w Sopocie, ale sądzę, że płocka trasa będzie podobna.

— Rzeczywiście bardzo starannie przygotowani jesteście do tegorocznych zawodów, na ale przeciwnicy...

— No właśnie wszystko już się wyjaśni za kilka dni.

Niezależnie od wyników jakie uzyskują Tomek i Katarzyna ich ojciec zapewnił mnie, że nie zamierzają rozstać się z rodzinnym hobby. Rozpoczęliśmy już budowę prawdziwego gokarta. Przecież Tomek niebawem przekroczy limit wieku, dopuszczalny dla minikarowców.

Niewiele jest takich rodzin w Polsce, w których ojciec, córka i syn mają jedno, wspólne rodzinne hobby.

DARIUSZ SZPAKOWSKI

Zdjęcia: Kajetan Adamowski

DOROTA TO MA DOBRZE!

czyli opowieść o dziewczynie, która chciała być kimś innym

— Dorota to ma dobrze!

Szła korytarzem szkolnym, gdy usłyszała to westchnienie.

— Cześć co słychać?! — zawołała do koleżanek.

— Cześć, nic specjalnego.

Spojrzała na nie z wyższością osoby, u której dzieje się wiele. Zniżyła głos do szeptu: — Wczoraj narozrabialiśmy z Alfredem...

Szła już w kierunku schodów, gdy dobiegło ją jeszcze raz: „Dorota to ma dobrze". Uśmiechnęła się sama do siebie. Zadowolona była, szczęśliwa. To o niej tak mówią, to jej tak zazdroszczą. Kto by pomyślał, że jeszcze rok temu...

Szara myszka

Jeszcze rok temu nikt o Dorocie nie mówił, że ma dobrze. W ogóle nic o niej nie mówiono, jakby Doroty w VIa nie było. Niczym się specjalnie nie wyróżniała: uroda taka sobie, stopnie średnie, ciuchy nie rzucające się w oczy, małomówna, nawet piosenek śpiewać nie potrafiła. No nic, po prostu zero.

To było zdanie Doroty o samej sobie. I jego konsekwencja — nieprzespane a poświęcone na marzenia noce: żeby mieć takie ciuchy jak Jolka, włosy jak Urszula, żeby jej tata miał taki samochód jak ojciec Bogdana, żeby umiała tak śpiewać jak Halina, żeby się chociaż uczyła jak Zosia...

Na więcej marzeń już nocy Dorocie nie starczyło, zasypiała. Ale śniło jej się coś miłego — że jest właśnie Jolką, Bogdanem, Urszulą, Zosią... Niestety, budziła się sobą, Dorotą. Dorotą, której nikt niczego nie zazdrości.

Szansa

Było to troszkę ponad rok temu. Koniec sierpnia, za kilka dni miała rozpocząć się szkoła. Mama Doroty rozpoczęła niedawno pracę w nowym zakładzie. Była tam stołówka pracownicza, w której mogli stołować się i członkowie rodzin. Rodzice stwierdzili, że dobrze by było, gdyby i Dorota mogła tam jadać obiady — w jej szkole takie kiepskie. Problem polegał na tym, że zakład był na drugim końcu miasta — jeśli Dorota po lekcjach tam wyruszy, dojedzie za późno. Pomysł był taty. Zawołali ją.

— Co byś powiedziała, Dorotko gdybyś musiała zmienić szkołę; nie żal by ci było koleżanek, klasy?

Dorocie, jak to się mówi, „język kołkiem stanął" w tym momencie.

— Rozumiem, że ci żal — kontynuował tata — ale to by było tak dobrze...

Legenda

Zostało do rozpoczęcia roku szkolnego tydzień. Dorota postanowiła przez te kilka dni wymyślić, siebie. Kim będzie, jaka będzie, jaką się przedstawi nowej klasie.

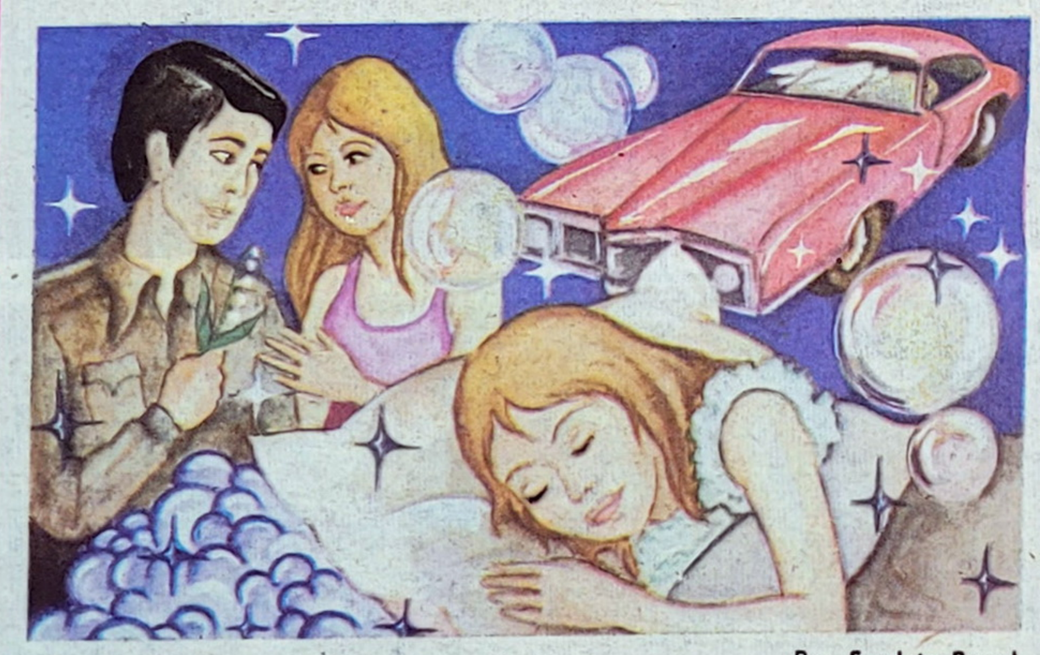

Rys. Szarlota Paweł

Zadanie niezbyt łatwe, skoro portret miał być precyzyjny, ale Dorota miała już wprawę. Mało to nocy spędziła na marzeniach, że jest kimś innym niż jest!? W ten sposób powstała legenda, z którą wstąpiła w dniu rozpoczęcia lekcji do swojej nowej klasy — VIIc.

Według tej legendy Dorota była do nowej szkoły przeniesiona za karę. Rodzice ją przenieśli, aby nie spotykała się ze swoim chłopcem — Alfredem. Wyimaginowany Alfred był od nie o rok starszy, wysoki, kruczowłosy, z piękną falującą się czupryną, posiadał motorower i poza nią, Dorotą, świata nie widział. Zaręczyli się nawet, ale rodzice jej, stanęli tej szalonej miłości w poprzek. Dlatego musi chodzić do szkoły na drugi koniec miasta, nie wolno jej wychodzić nigdzie po południu ani przyjmować jakichkolwiek gości (w ten sposób Dorota zabezpieczyła się przed wizytami nowych koleżanek). Nie dość tego — aby przypadkiem nie miała powodzenia u nowych kolegów, matka wyrzuciła jej wszystkie piękne sukienki, które ojciec przywozi zza granicy i Dorota musi chodzić w tych starych okropnych łachach, które rodzice kupili... od ich gosposi. Kosmetyki też mama Dorocie wyrzuciła, a swoje przed nią chowa. Dlatego Dorota ma teraz takie brzydkie włosy, bo musi je myć zwyczajnym mydłem, dlatego ma brzydką cerę, bo została pozbawiona „swojego" kremu. Ale to nic, Dorota kicha na te doczesne dobra, nic ją również nie wzrusza, że nie wolno jej nawet dotknąć ich nowiutkiego „Forda", najważniejsze, że Alfred ją kocha i że ona kocha jego; miłość to najcudowniejsza rzecz na świecie.

Sukces

Tej swojej legendy nie wyrypała Dorota w nowej klasie od razu. Nie, to by było głupie, podejrzewaliby, że buja. Zaczęła mądrzej — smutna, tajemnicza mina zaintrygowała nowe koleżanki. Pytały się, co jej jest — nie chciała odpowiedzieć. Dawała się prosić, cedziła informacje po troszeczku, po kolei, w tajemnicy. Prosiła każdą, której się z czegoś zwierzyła, żeby nie mówiła innym. To poskutkowało, wiedzieli wszyscy. Zdjęcia Alfreda pokazać nie mogła, matka odebrała wszystkie, zniszczyła, nowe byłoby nosić niebezpiecznie — rodzice ją rewidują. Ale to nic, grunt to miłość.

Byli tacy w VIIc, którzy pewnie nie wierzyli w Alfreda, albo po prostu nie interesowało to ich. Ale były też takie, które historia Doroty zafascynowała. Dorota dopięła swego — zazdroszczono jej, podziwiano ją. Nareszcie!

Klęska

Był czerwiec, szkoła już się skończyła. Dorota siedziała w kuchni i pomagała mamie pierogi na kolację lepić, gdy zadzwonił dzwonek. Mama otworzyła.

— Dorotko, kochanie, koleżanka do ciebie przyszła — powiedziała przepuszczając przed sobą do kuchni Janke, jedną z tych, które Dorotę najbardziej podziwiały, które najbardziej jej zazdrościły. I jeszcze dodała, już do Janki się zwracając:

— To miło, że przyszłaś Dorotkę odwiedzić, dziecko. W tamtej szkole miała ona parę koleżanek, a w tej nowej, ja wiem, wy wszyscy daleko mieszkacie. Tak wypadło, że wygodniej było nam Dorotę przenieść...

To było straszne. Dorota cała zesztywniała od środka widząc ironiczny uśmieszek Janki. A do tego ten serdeczny uśmiech mamy, która podejmowała Jankę jak najmilszego gościa. Gdyby mama wiedziała...

Nie dowiedziała się. Na szczęście. Tego też się Dorota bała, tak samo chyba jak i Janki, która — wiedziała to — zaraz pobiegnie do Baśki, do Agaty, do Zuzki... opowie im. A wtedy...!

★ ★ ★

Spotkałam się z Dorotą na kilka dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Miała go rozpocząć w... swej starej szkole. Przekonała rodziców, żeby ją tam z powrotem przenieśli — że to już ósma klasa, że obowiązków więcej, że szkoda czasu na dojazdy, że pal sześć obiady w maminej stołówce, bo nauka i tak jest najważniejsza.

Spokojna już była. I zrezygnowana — nic fascynującego ją tam nie czeka. Ale i szczęśliwa też — udało się jej ominąć największe niebezpieczeństwo, kpiny. Tej Dorocie to dobrze!

EWA KŁOSIEWICZ

REDAKCYJNA POCZTA

Nie martw się!

Po przeczytaniu listu „Samotnej warszawianki" z 100 numeru „ŚM" głęboko się zastanowiłam. Ja także mam 15 lat i uważana jestem za ładną dziewczynę, choć czasami dręczy mnie podobny problem. Podkreślam — czasami, bo zaraz mówię sobie ostro — dość! Z Twojego listu wcale nie wynika, że jesteś osamotniona. Jesteś przecież wesoła i koleżeńska, a taka dziewczyna zawsze będzie miała towarzystwo. Poza tym wiem z opowiadań koleżanek i własnego, bardzo skromnego doświadczenia, że chłopcy nie zawsze są warci naszego zainteresowania. Niektórzy idąc z dziewczyną obdarzają ją komplementami, a później przy kolegach wyśmiewają się z niej. Są też porządni i weseli chłopcy, ale trudno na nich trafić. Ja wcale nie chcę mieć sympatii, bo boję się rozczarowań. Mam wielu kolegów, ale żadnego z nich nie traktuję poważnie, bo uważam, że na wszystko będzie czas. Nie martw się więc „Warszawianko" — jeśli ktoś dostrzeże, co jesteś warta — na pewno Cię nie ominie, a innymi chłopcami nie zaprzątaj sobie głowy. Sposobu na powodzenie nikt nie wymyślił — podszeptuje go nam dziewczęca intuicja.

Ania z Przemyśla

O reżyserach — piszemy!

„Kochany „ŚM"! No Twych łamach ukazały się wywiady z Nel, Elżbietą Jurkiem — bohaterami, jakże przez nas lubianych filmów. Cieszę się, że takie wywiady ukazują się i bardzo dziękuję. Cieszę się także, że my — czytelnicy możemy na Twych łamach brać udział w dyskusjach na temat filmów, które ukazały się na ekranach kin. Uważam jednak, że trochę „po macoszemu" „ŚM" traktuje reżyserów... My znamy ich tylko z nazwiska! Każdy polski film młodzieżowy przyjmowany jest z wielkim aplauzem przez młodych widzów. Film „Motyle" Janusza Nasfetera był jednym z nich. Moim zdaniem, aby nakręcić taki film, trzeba dzieci kochać i rozumieć. Znane są też seriale telewizyjne Stanisława Jędryki. Różnią się one od filmów p. Nasfetera; zawierają sporo fantazji. Najbliższy memu sercu był film pt. „Koniec wakacji". Praca z młodymi aktorami nie należy chyba do łatwych. Stanisław Jędryka i Janusz Nasfeter muszą być swego rodzaju świetnymi pedagogami. Cenię ich za to, że szukają ciągle nowych talentów. My chcemy w bohaterach z ekranu odnaleźć cząsteczkę samych siebie! Jeżeli więc reżyserowi uda się wzruszyć młodego widza do głębi serca i pozostawić w nim wspomnienie — film można uznać za dobry. Nieważne są chyba sukcesy w postaci nagród, ale to, że film pozostawił widzowi „coś" po sobie.

Violetta Wantulok

Od redakcji: My także wysoko cenimy pracę reżyserów, którzy pamiętają o młodych widzach. Kilkakrotnie przeprowadzaliśmy i publikowaliśmy w gazecie wywiady ze Stanisławem Jędryką, Januszem Nasfeterem, Władysławem Ślesickim. I nadal będziemy to czynić!

UTARŁO się co prawda przekonanie, że kostium jest to ciuch „bardzo dorosły", ale wydaje mi się, że nie jest ono prawdziwe. No bo niby dlaczego?!

Jest to taka fajna rzecz z typu przejściowych — nie za lekka, nie za gruba — i jeszcze jej ciepłość można samemu regulować zakładając albo cienką bluzkę, albo grubszy sweter. I jeszcze czasami szalik, rękawiczki, czapkę włóczkową, a kiedy indziej nosi się żakiet rozpięty. Czyli możliwości stwarza kostium wiele. A ponieważ wszystkie takie „wielomożliwościowe" ciuchy lubimy, więc i kostium też da się lubić, nieprawda?!

Bywają kostiumy bardzo różne. Poczynając od gatunku (czytaj: grubości i ciepłości) materiału, poprzez to czy jest żakiet na podszewce czy jest bez podszewki, aż do fasonów. I tym ostatnim chciałabym się dziś zająć.

Co najbardziej charakterystyczne — żakiety są dłuższe niż ostatnio, ale nie ma również bardzo, bardzo długich. Czyli takie średnie raczej, do połowy bioder. Spódnice też są dłuższe, takie w okolicy kolan. Nawet jeżeli ktoś normalnie nosi spódniczki bardzo krótkie, to ta kostiumowa powinna być od normalnych odrobinę dłuższa, jeżeli ktoś w ogóle nosi dłuższe — taka sama. Spódnice wszystkie rozszerzane ku dołowi, dużo jest układanych w fałdy lub plisowanych. Żakiety równorzędnie bywają przepasane w talii paskiem (modne są paski wiązane, z tego samego materiału), albo luźne. Zdarzają się też odcięte w talii z przyszytą tzw. baskinką (ale to raczej te lżejsze).

DOM MODY świata młodych

Jesień w kostiumie

Modne są kostiumy łączone z dwóch rodzajów materiałów — kontrastowych (tu często gładki np. z kraciastym) lub zgranych ze sobą (np. ciemniejszy zielony i jaśniejszy zielony). W wypadku kostiumu łączonego trzeba uważać z doborem dodatków, głównie bluzki czy sweterka, żeby całość była ładnie skomponowana.

Każdy żakiet od kostiumu można również nosić do zupełnie innej spódnicy (byleby do niej pasował), takie „kostiumy nie do pary" są ostatnio bardzo popularne. I oczywiście również do spodni, które wcale nie „wyszły z mody", jak obawiają się niektóre czytelniczki. Ale o tym — innym razem.

RIUSZKA

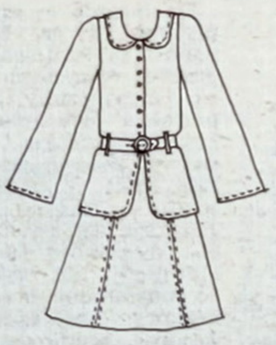

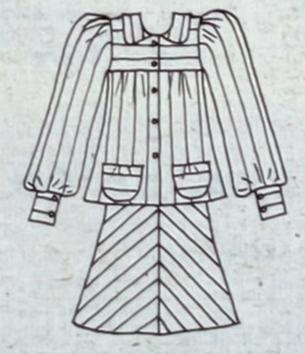

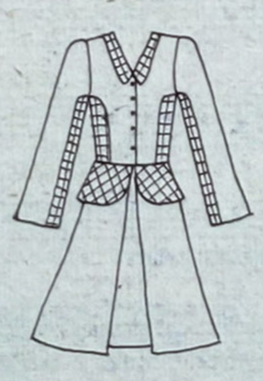

Legenda o powstaniu plemienia Pekunis

Manitoocak ki pi konak.
Panatcaiak ki ka a mak...
. . . . . .
O! Wysoki lesie, tyś moim domem
O! Wielka rzeko tyś moją ścieżką
Bez was życie moje jest niczym.*

SAT — OKH

Było kiedyś tak...

Było kiedyś tak, że Złe Duchy z Górnego Świata zesłały na Dolny Świat wielką wodę i woda ta zalała przestrzenie dawniej zamieszkałe przez Indian.

Wówczas to Na-pi-wa, stary i zgarbiony pod ciężarem lat człowiek wpadł pewnego razu na myśl, którą natychmiast wprowadził w czyn: z ziarenka piasku utworzył wielką Wyspę, która lekko unosiła się na obszarach wodnych. Zanim jednak ją stworzył, korzystał wraz ze swoją małżonką o imieniu Na-po-os i z wszystkimi zwierzętami — z trawy.

Główną myślą tej pary ludzi było pragnienie odnalezienia choćby małej grudki ziemi. I oto Na-pi-wa wpadł na pomysł, aby po zdobycie ziemi posłać na dno wody — wydrę. Wydra zanurzyła się w wodzie o wschodzie słońca i czekano na nią aż do jego zachodu. Kiedy wypłynęła na powierzchnię — była już martwa.

Stary Człowiek starannie przeszukał jej sierść, przejrzał łapki i pazury, ale nie znalazł ani odrobiny piasku. Wówczas zwrócił się do bobra:

— Ratuj nas bobrze, nurkuj, szukaj!

Minęły dwa słońca, a bóbr ciągle nie pokazywał się na powierzchni wód. Aż w pewnej chwili wypłynął. Niestety — był również martwy. Na-pi-wa wysłał teraz na dno nurka, który pod wodą przebywał przez okres trzech słońc. Lecz gdy wypłynął był również martwy.

Ale Stary Człowek uparł się. Tak bardzo potrzebował tego bodaj ziarenka piasku, że zwrócił się jeszcze do piżmoszczura. Myślał: może on dokona tego, co się nie udało tamtym zwierzętom?

Piżmoszczur pogrążył się szybko w głębinie i tym razem jego nieobecność trwała aż cztery słońca. Ale i on po okresie czterech słońc wypłynął na powierzchnię bez życia.

A jednak Stary Człowiek, który zachował bystrość wzroku dostrzegł, że jedna z łapek piżmoszczura była mocno zaciśnięta. Na-pi-wa rozwarł jego pazurki i z jednego z nich wyjął to upragnione ziarno piasku.

I oto stała się ta rzecz wielka, ważna i tak długo oczekiwana. Z ziarenka piasku Stary Człowiek stworzył wyspę.

Czy była wielka? Nie wiedział. Poradził więc sobie w ten sposób, że wysłał młodego lisa, by ten obiegł jej powierzchnię i sprawdził jak wielki jest ten obszar. Stało się jednak tak, że lis zakończył ze starości życie — zanim zdążył okrążyć wyspę.

I tu, Stary Człowiek, dumny ze swego dzieła, powziął postanowienie: wyruszył w drogę z Na-po-os, aby poznać ziemię powstałą z ziarnka piasku.

Wędrowali tak oboje wzdłuż rzeki o brzegach gliniastych i wilgotnych, a jednocześnie światła i cienie słońca ukazywały im coraz to piękniejsze krajobrazy nowego lądu. Władca Wichrów targał gałęźmi brzóz, których białe pnie otaczała zieleń jasna i ciemna. Gęstwa splątanych konarami klonów szumiała na rozkaz Władcy Wichrów tajne opowieści o swoim słodkim, smakowitym soku. Czasem orzeł królewski zatrzepotał skrzydłami, czasem wzbijały się nad nimi stada dzikich gęsi, szumiało sitowie rosnące w małych zatokach rzeki, brzegiem której wędrowali starzy ludzie.

Na-po-os aż westchnęła oczarowana urodą ich wyspy. Rzekła:

— Tak, ląd nasz jest duży i piękny, ale jednak chyba czegoś mu brak. Jak myślisz, może ta nasza na nim samotność? Może to, że jesteśmy tu zupełnie sami sprowadza na nas ten dziwny smutek? Gdybyśmy tak stworzyli ludzi, którzy by tu z nami zamieszkali?...

— Kto wie czy nie masz słuszności... I chyba racja po twojej stronie — odpowiedział na myśli swej kobiety Na-pi-wa. — A więc zgadzam się z tobą, ale też stawiam warunek: przy tworzeniu ludzi do mnie będzie należało pierwsze słowo.

— Zgoda — odpowiedziała Stara Kobieta. Ale warunek stawiam również i ja: do mnie będzie należało słowo ostatnie!

— No to zaczynamy — powiedział Na-pi-wa.

Chwilę jeszcze pomyślał patrząc na piękne obrazy, które przed nimi na wyspie malowały rośliny, drzewa, rzeka, ptaki oraz światła i cienie darowane przez słońce i zaczął:

— Ci nowi ludzie będą zrobieni z drzewa i będą też rośli tak jak drzewo.

— Nie. Nie zgadzam się — zaprzeczyła gwałtownie Na-po-os. — Będą oni z ciała i kości, a mnożyć się będą jak zwierzęta.

— A więc dobrze, zgadzam się — odrzekł poważnie Stary Człowiek. Ale chyba twarze powinni mieć... kwadratowe, a ich oczy i usta będą położone na twarzy pionowo. Uszy zaś winni mieć przytwierdzone po obydwóch stronach nosa.

— A ja nie zgadzam się — przerwała gwałtownie Na-po-os. — Ludzie ci powinni mieć twarze okrągłe, usta i oczy ułożone poziomo, oczy zaś, najbardziej wyraziste, część twarzy znajdować się winna po obydwu stronach górnej części nosa. Co do uszu, to chciałabym je widzieć po obydwu stronach głowy, bo jakżeby inaczej mogli posłyszeć zbliżanie się wroga? Muszą przecież móc przyłożyć ucho do ziemi, a gdyby nos zanurzył się w piasku — zatamowałoby to ich oddech.

— Niech już racja będzie po twojej stronie — zgodził się Na-pi-wa. — Ale za to ci ludzie powinni mieć po cztery ręce i cztery nogi, a również dziesięć palców u każdej dłoni.

— Ależ co ty mówisz Na-pi-wa! To stanowczo za dużo. Przy tej ilości nóg i rąk ludzie ci nie będą ani lepiej pracować, ani prędzej biegać. Oni — moim zdaniem — powinni mieć po dwa ramiona, po dwie nogi i po cztery palce i jednym kciuku u każdej dłoni.

— No to niech tak już będzie jak mówisz — powiedział ustępliwe Na-pi-wa. — Ale mężczyźni nie będą ani jedli, ani się ubierali. Niech każdy z nich żyje ze swoją kobietą i bawi swoje dzieci. Tak będzie najlepiej.

Ależ nie — zaprotestowała Na-po-os — mężczyźni zanudziliby się nic nie robiąc, a kobiety, cóż? Kobiety byłyby przemęczone wieczną obecnością mężów przy ich boku. Prawdziwie męska robota — to polowanie przez cały dzień. Powracać do tipi powinni oni dopiero o zachodzie słońca. Kobiety zaś w czasie ich nieobecności niech będą zajęte zbieraniem drzewa i orzechów, zrywaniem dorodnych i soczystych owoców, wykopywaniem korzeni. No i niech szykują potrzebne inne jadło: suszone mięso. Również ich sprawą będzie wyprawianie skór. Pracując tak będą szczęśliwe, a gdy słońce schyli się ku zachodowi z radością witać będą powracających mężczyzn.

Rys. Szarlota Pawel

— Cóż — westchnął Na-pi-wa — niech będzie tak, jak ty mówisz. Ale jeszcze jedno: ani mężczyźni, ani kobiety, nie będą w ogóle umierać, a wiecznie żyć razem.

Na-po-os namyślała się przez chwilę i odpowiedziała:

— Nie, to niemożliwe. — Szczęśliwiej jest umierać. I pomyśl jeszcze co się stanie, gdy wyspa twoja zbytnio się zaludni i zacznie brakować żywności?

— Ależ to jest niemożliwe — rzekł Stary Człowiek. — Tak się stać nie może.

— A ja ci mówię, że tak by się właśnie stało, gdyby wszyscy żyli wiecznie — zawołała Na-po-os.

— Dobrze, już dobrze — koił jej wątpliwości i podniecenie Stary Człowiek. — Pomyślimy spokojnie i na pewno znajdziemy inne, dobre, najlepsze wyjście. Spójrz: rzucę ten oto kawałek drzewa do wody. Jeśli utrzyma się na powierzchni umrę na cztery dni, a potem — znów powrócę do życia.

— Nie, nie — odpowiedziała Na-po-os — załatwimy tę sprawę jeszcze inaczej. Rzucę do wody kamień, jeżeli będzie pływał, to ludzie po czterech dniach będą wracali do życia, jeśli utonie — będzie to oznaczać już śmierć ostateczną.

Rzucili kamień, który od razu poszedł na dno.

— No widzisz — powiedziała triumfująco Na-po-os. Teraz ludzie będą się wzajemnie więcej szanować.

— A więc zgadzam się, niech już tak będzie — rzekł z rezygnacją Stary Człowiek.

---

* Pierwsze słowa pieśni w narzeczu Indian Cree.

TELEWIZJA

NIEDZIELA

9.00 TERERANEK: — „Piosenka na dzień dobry" — Zagadka — Prezentacja największego polskiego samochodu — Film animowany „Pies, kot i decybele" — Telewizyjny Klub Śmiałych, cykl „Dookoła nas" — Niedzielne Nowiny — Zagadka — Niedzielny gość — Adam Słodowy.

Pr. II

14.35 Sport i zabawa

PONIEDZIAŁEK

17.00 ZWIERZYNIEC — poświęcony różnym sposobom gromadzenia przez zwierzęta pokarmu: — Gawęda dr M. Sołtyńskiej o pelikanach — Film o pelikanach z warszawskiego ZOO — Rafał Skoczylas opowie o dziobach ptasich — Film z serii „Przygody psa Huckleberry".

WTOREK

17.00 — 18.50 — 20.20 Studio szkoła

17.50 Studio Telewizji Młodych

ŚRODA

Pr. II

17.00 Tylko dla zastępowych

17.30 Decyzje piętnastolatków (o pracownikach budownictwa i przemysłu chemicznego).

CZWARTEK

17.00 EKRAN Z BRATKIEM — informacje kulturalne.

PIĄTEK

17.35 „Szperacze" z Krakowa

SOBOTA

17.55 Sobota Młodych

RADIO

NIEDZIELA

11.00 — 11.20 Pr. I. „Gdzie jest filozof?" słuch. Tadeusza Zimeckiego.

15.30 — 16.00 Pr. II „Trudna przyjaźń" cz. II słuch. Anny Lisowskiej-Niepokólczyckiej wg. powieści Haliny Górskiej „Druga brama".

16.00 — 16.10 Popołudnie z piosenką.

18.53 — 19.00 Pr. I DOBRANOCKA.

PONIEDZIAŁEK

9.00 — 9.25 Pr. II. „Co to jest muzyka?" aud. Małgorzaty Bloch i Anny Stuligrosz z cyklu „Spotkanie z muzyką".

11.00 — 11.20 „Do ciebie Polsko, idziem..." aud. dok. Urszuli Łączkowskiej.

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „AS" — minimagazyn. — „Radzinny tor przeszkód" — „Klub Poliglotów" — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 10 pow. Scott O'Dell, przekład Zofii Uhrynowskiej.

WTOREK

9.00 — 9.30 Pr. II. „Wycieczka w przeszłość" — reportaż literacki Krystyny Mellon.

9.40 — 10.00 „Bajka o wrześniu" — słuch. Barbary Kościuszko.

13.00 — 13.20 „Kolorowe melodie" aud. Marii Terlikowskiej i Jadwigi Mackiewicz z cyklu „Przygody z kluczem wiolinowym".

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „Poszukiwacze i ś-ka" — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 11.

ŚRODA

15.00 — 15.40 Pr. ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — Studio Słonecznik „Zuchowe wieści" — „Sygnał dla białej orchidei" odc. 13 serialu Aleksandra Minkowskiego — „Przeczytaj sobie sam" — „Co w nutach piszczy" — „Wyspa błękitnych delfinów" — odc. 12.

CZWARTEK

9.05 — 9.25 Pr. I. „Czy słoń jest krewnym słońca?" aud. Wiery Badalskiej i Hanny Wiśniewskiej z cyklu „Kaga-Czego? i dlaczego?".

11.00 — 11.30 Pr. II. „Bunt mieszczan" aud. dok. Urszuli Łączkowskiej.

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „O tym Krzewski nie wiedział" — aud. Haliny Dyszlewskiej i Barbary Micsko z cyklu „Fakty mówią" — „Muzyczne hokus-pokus" — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 13.

PIĄTEK

9.00 — 9.20 Pr. II. „Strategia i praktyka badawcza współczesnej biologii".

9.40 — 10.00 „Zbieramy kasztany" — aud. słowno-muz. Teresy Bilińskiej z cyklu „Zabawy przy muzyce".

11.00 — 11.30 „Wesele w Lipcach" słuch. wg fragm. „Chłopów" Władysława Reymonta.

13.00 — 13.20 Pr. II „Bohater pozytywny — Co to takiego?!" aud. Andrzeja Mencwela.

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „Błękitna Setafeta" — Pytaj — odpowiemy... — Rajd jesienny — Miesiąc po szosie — reportaż — „Wyspa błękitnych delfinów" — odc. 14.

SOBOTA

9.05 — 9.25 „Kolorowe melodie" (powt. z 16.09.73 r.).

11.00 — 11.20 Pr. II. „Nasze jutro tworzymy dziś".

13.00 — 13.20 „Czy słoń jest krewnym słońca?" (powt. z 18.09.73 r.).

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: Młodzieżowa Agencja Kulturalna: — Aktualności kulturalne — Z książką za pan brat — odpowiedzi na listy — Kącik poezji — Felieton muzyczny — Piosenki MDK-u — Test dla detektywów — aud. muzyczna Lecha Nowickiego — „Wyspa błękitnych delfinów" — odc. 15.

Polskie Radio i Telewizja zastrzegają sobie możliwość zmian w programie.

Zdjęcie Jerzy Płoński

Znajomi z Sopotu

GOLDIE ENS urodziła się w 1954 roku w Kapfenberg. Po rodzicach odziedziczyła zainteresowania muzyką. Pierwszą płytę nagrała w maju 1973 roku. W Wiedniu, gdzie rozpoczęła studia w konserwatorium (śpiew, fortepian), spotkała Alfreda Mihatsa i Lansa Lumsdena. Ten pierwszy zorganizował Goldie serię koncertów w kraju i za granicą, ten drugi został jej muzycznym doradcą.

— Którą ze swoich piosenek chciałaby Pani zadedykować czytelnikom „Świata Muzyki"?

— *„Good by Joe", ponieważ podobała się austriackim nastolatkom. Lubię żywe, rytmiczne, ekspresyjne piosenki z tekstami mówiącymi o prostych, codziennych sprawach np.: nasza rozmowa to doskonały temat do piosenki...*

— Najbliższe plany...

— *Mam swój zespół „State Express". Niebawem ruszamy w tournée po Austrii... Potem chciałabym trochę odpocząć przed festiwalem Coup d'Europe. Podobno weźmie w nim udział Irena Jarocka...*

— Co Pani najbardziej ceni u wykonawcy?

— *Osobowość. Piosenkarz musi wierzyć w to o czym śpiewa. Nie można śpiewać o miłości skoro się jej nie przeżyło...*

— Jak Pani ocenia nasz festiwal?

— *Swietna orkiestra, znakomity dyrygent, no i miła atmosfera, rzadko spotykana na innych tego typu imprezach. Najbardziej podobała mi się Diane Marchal, zabawna dziewczyna dysponująca silnym głosem.*

— Podobno w przyszłym roku przyjedzie Pani do Polski?

— *To prawda.*

Ludmiła Senczina z Leningradu — Miss Obiektywu Sopot 75.

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje: LECH NOWICKI

PIOSENKA NIE ZNA GRANIC...

PRZEDSTAWICIELE dwudziestu dziewięciu wytwórni płytowych (m. in. CBS — Sugar, King Records, Melodia, Philips, Opus, Finger Records, Pepita, EMI, Polydor, Supraphon, przyjechali do Sopotu, aby walczyć o „Bursztynową Płytę — Grand Prix de Disque" — najwyższe trofeum XV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki.

20 sierpnia — środa. Dzień płytowy. Cz. I. Każdy piosenkarz lub zespół wokalny wykonuje w dowolnym języku dwie piosenki lansowane przez zgłaszające je wytwórnie płytowe jako przeboje. Jury ocenia wartość i atrakcyjność zestawów zgłoszonych przez wytwórnie.

Jerzy Gruza podzielił wykonawców na dwie grupy. Paniom, z racji Międzynarodowego Roku Kobiet, przypadł w udziale zaszczyt inauguracji festiwalu. Za ten dowcip reżyser otrzymał brawa. Jednak ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Nawet Jerzy Gruza nie przewidział, że niemal wszystkie piosenkarki przyjadą do Sopotu w nastrojach minorowych, że będą się zwierzać z miłosnych zawodów i życiowych rozczarowań. Tylko żywiołowa Goldie Ens i Anna Jantar próbowały rozruszać mocno zatroskaną publiczność. Obok wyżej wymienionych, zdecydowanie górowały nad pozostałymi piosenkarkami: obdarzona oryginalnym tembrem głosu, swobodna na estradzie Diane Marchal i Raisa Martczjan — absolwentka konserwatorium w klasie fortepianu, solistka zespołu armeńskiego radia i telewizji (jak słusznie zauważył znany radziecki kompozytor Arno Babadżanian „jej styl śpiewania wolny jest od wszelkich modnych naleciałości"). Szkoda, że tej pierwszej nie zauważyli członkowie jury. Podobnie jak na kilku innych festiwalach sytuację ratowali dziennikarze, przyznając sympatycznej Kanadyjce swoją nagrodę.

21 sierpnia — czwartek. Dzień płytowy — cz. II. Trzynastu panów prezentowało ciekawe, a przede wszystkim urozmaicone programy. Jeśli pierwsza piosenka była smutna, to druga żywa, rytmiczna. Zapisałem w swoim notesie trzy nazwiska... Jak Joala — młody, obiecujący solista z Tallina. Występuje na estradzie od szóstego roku życia, dysponuje silnym głosem, ale nigdy nie wykorzystuje go do maksimum. Marboo — ciemnoskóry reprezentant Finger Records. Studiował w konserwatorium śpiew oraz grę na organach koncertował z grupą „Afro Kings". Glenn Weston — znakomicie przygotowany do festiwalu. Zwracały uwagę doskonale aranżacje jego piosenek.

22 sierpnia — piątek. Dzień polski. Każdy piosenkarz wykonuje jedną piosenkę skomponowaną przez kompozytora polskiego. Jury ocenia interpretację utworu przez wykonawcę i najlepszą aranżację.

Przeboje Jarosława Kukulskiego przypadły do gustu zagranicznym wykonawcom. „Tyle słońca w całym mieście" i „Najtrudniejszy pierwszy krok" śpiewali: Glenn Weston, Goldie Ens, Sammy Clark i Vera Spinarowa. Jury najwyżej oceniło popis wokalny i aktorski Corliny Chiriac. Rumunka, po ukończeniu szkoły muzycznej w klasie śpiewu, skrzypiec i fortepianu, uczęszczała przez pięć lat do Wyższej Szkoły Teatralnej. Znów świetnie wypadł Glenn Weston i „Fonograf" — najnowsza formacja beatowa na Węgrzech. Byli członkowie grup „Illes" i „Tolcsaway" grają pop music z elementami rocka i ludowej muzyki węgierskiej. „Czerwone słoneczko" po węgiersku zabrzmiało bardzo świeżo.

Poza konkursem wystąpili: Bobby Solo — jeden z najbardziej znanych piosenkarzy ostatnich lat, który jednak szczyt popularności ma już poza sobą. **Barry Ryan** — świetnie śpiewa rock and rolla, dobrze się czuje w nastrojowych balladach, potrafi nawiązać kontakt z publicznością. **Frank Schoebel** — rozbawił publiczność dowcipnymi, pomysłami sceniczno-muzycznymi. A teraz uwaga! Największe wydarzenie sopockiego festiwalu — recital **Karela Gotta**. Ten wielki artysta — nie waham się użyć tego słowa — zdobył mnóstwo najróżniejszych nagród, dyplomów i wyróżnień. Nagrał ponad osiemdziesiąt płyt! Prawie co roku przyjeżdża do Polski. Występem w Sopocie zainaugurował kolejne tournee po naszym kraju.

Polska Agencja Artystyczna przedstawiła zagranicznym impresariom czołowych polskich piosenkarzy i zespoły. W niedzielnym koncercie galowym udział wzięli: Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska, Irena Jarocka, Wojciech Młynarski, Stefan Zach, Bogdana Zagórska, Dwa plus jeden...

Wiem, że to miłość

Muz. A. ZYGIEREWICZ, A. SKORUPKA — SI. S. MROWIŃSKI

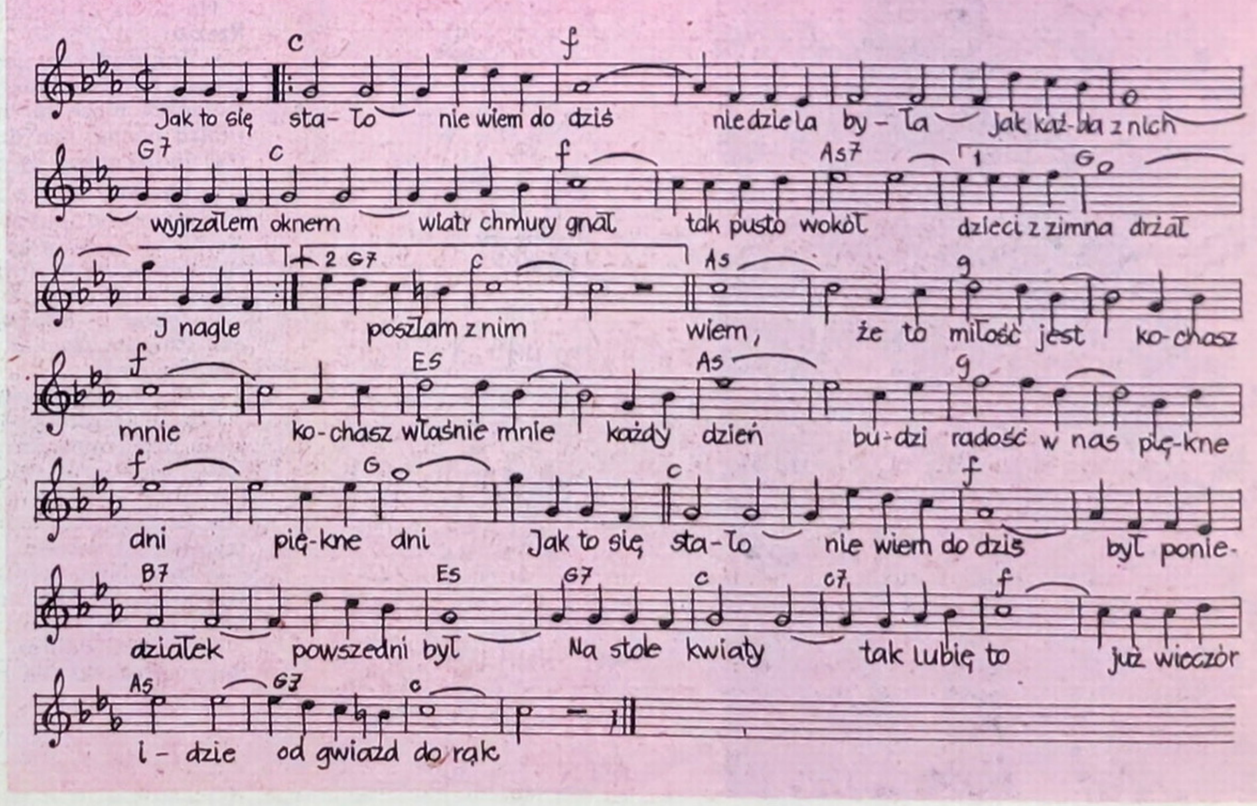

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

O SŁUPI można nieskończenie...

Jedną z gmin województwa kieleckiego, położoną na skraju jego granic, w Niecce Nidziańskiej, jest Słupia Jędrzejewska. Pierwsze wzmianki o tej miejscowości pochodzą z XV—XVI wieku. W tym okresie szczególnie charakterystyczną cechą miejscowości była ogromna ilość wód i duże zabagnienie. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się dwa zlewiska źródlanej wody, podzielone tu i ówdzie naturalną groblą. W miarę upływu czasu, przekształciły się one w jeden duży staw, częściowo także wysychając. Po II wojnie światowej staw został przejęty przez PGR.

Mały pałacyk na wzgórzu to jeden z wielu tutejszych zabytków.

Obecnie Słupia Jędrzejowska to dobre miejsce wypoczynku. Wspaniały krajobraz, czyste powietrze, bystre strumienie zwierciadlanej wody i zabytki — to wszystko sprawia, że miejscowość latem i zimą jest odwiedzana przez licznych turystów. Cechą rzucającą się w oczy jest również wysoki poziom kultury, oświaty i życia mieszkańców. Ważną rolę w jego podnoszeniu spełniają Zbiorcza Szkoła Gminna, Dom Ludowy, biblioteka i kino.

Kazimierz Radwan

Zdjęcie autora

CZARODZIEJKA i 7 RÓŻNIC

Prawy czarodziejski obrazek różni się od lewego aż siedmioma dostrzegalnymi szczegółami. Czy potrafisz je odszukać?

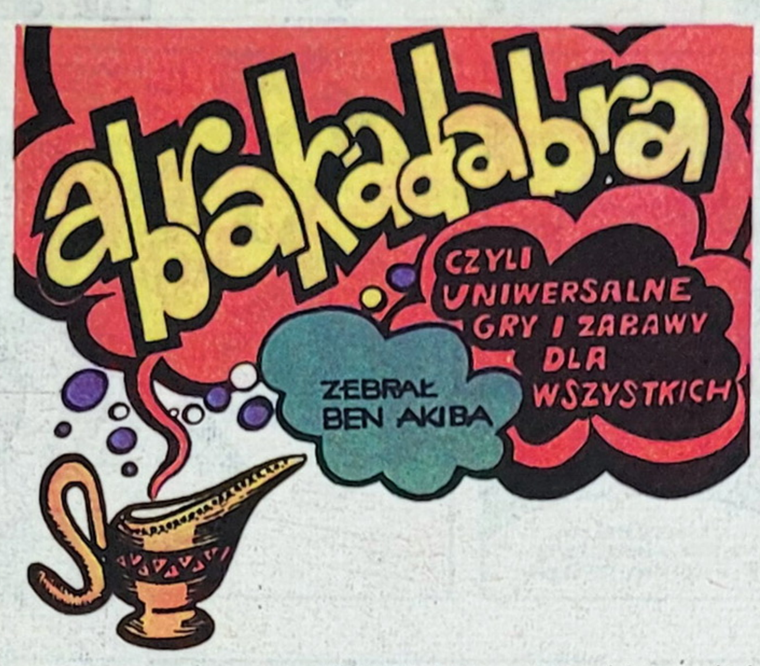

Dziś Abrakadabra wybitnie relaksowa, niewiele tym razem do łamania głowy.

Dla amatorów zagadek detektywistycznych, polecam geometryczny figiel „Sensacyjna ucieczka". Czekam też na Wasze „Pomysły do Abrakadabry", choć wiem, że na początku roku szkolnego musicie się ostro wziąć do roboty w szkole.

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ANOMALIE

Upał płata nieraz przedziwne figle. Oto rysownik miał narysować pustynię. I narysował, ale... Coś tu chyba nie jest w porządku, znajdzie się na pewno trochę różnych anomalii. Wyszukajcie je, zapiszcie i zaczekajcie do właściwych rozwiązań za tydzień.

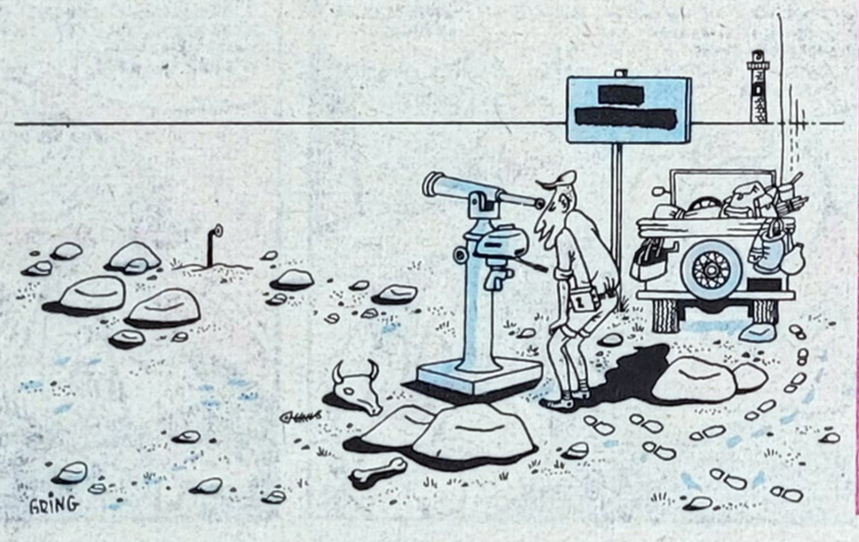

Z więzienia w zamkowej wieży (W.) uciekł do miasta przywódca buntu niewolników, który więziony był tam przez jednego ze starożytnych władców. Może on uciec z ufortyfikowanego miasta jedyną nie strzeżoną i otwartą bramą, ale w środku miasta, na rynku, stoi całą noc kilkuosobowy posterunek. Strażnicy, choć nie ruszają się z miejsca, mogą obserwować większość ulic. Czy niewolnikowi uda się uciec z miasta tak, by nie został dostrzeżony przez strażników? Narysuj drogę jego ucieczki!

Sensacyjna ucieczka

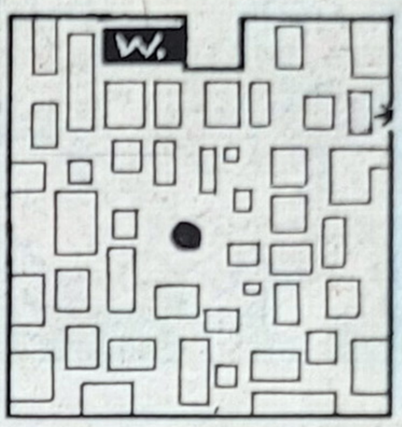

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY

Trzy bóstwa: pierwsze — bóstwo prawdy, drugie — bóstwo kłamstwa, trzecie — bóstwo dyplomacji. **Fałszywy obelisk:** na obelisku prawdziwym nie mogłoby być daty — rok 74 przed naszą erą, bo skąd starożytni Rzymianie wiedzieliby wtedy, że tak będzie się liczył czas? **Spirala i kwadraty:** rozwiązanie w przyszłym tygodniu. **Wygodny dłużnik:** nigdy.

ZADANIE PREMIOWANE 50

KOMBINATKA MATEMATYCZNA

Zamiast liter widocznych na rysunku podstaw odpowiednie cyfry tak, aby powstały prawidłowo wykonane działania arytmetyczne. Pamiętaj przy tym, że jednakowym literom odpowiadają jednakowe cyfry. Rozszyfrowane w ten sposób litery wpisz zamiast podanych niżej cyfr. Otrzymane wyrazy wpisz do diagramu tak, aby powstała krzyżówka. Litery z kratek ponumerowanych od 1 do 16 utworzą ostateczne rozwiązanie. Wypisz je na kartce pocztowej i prześlij pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 50". Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.

Wyrazy 3-literowe: 4—8—1, 7—2—1, 3—0—0, 0—3—1, 2—1—4, 2—8—1.

4-lit. 1—2—3—1, 7—2—3—0, 5—8—9—1, 2—3—0—7, 2—6—9—1, 9—4—3—2.

5-lit. 1—7—8—2—1, 1—0—3—9—1, 1—2—7—8—0, 4—1—9—3—1, 3—2—3—1—0, 2—1—4—1—0, 9—7—1—7—1, 9—8—2—9—1.

6-lit. 1—2—1—4—3—1, 4—8—7—3—0—3, 4—2—9—8—9—1, 0—3—1—0—3—1, 2—1—0—3—0—1, 9—3—1—2—0—8.

7-lit. 4—1—2—0—1—4—1, 5—1—2—1—7—8—0.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 44
z 91 n-ru „Świata Młodych"
z dnia 2.08.1975 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Co to za pora roku, która piłkę kopie — Lato (Grzegorz).

Bony książkowe wylosowali:

Piotr Chimicz — Ostrowiec Św.; Agnieszka Grankowska — Lublin; Andrzej Guść — Radom; Teresa Klimkowicz — Ząbkowice; Beata Korsakowska — Pisz; Tadeusz Luterek — Zamość; Anna Matyja — Sosnowiec; Joanna Owsicka — Gliwice; Małgorzata Stefaniuk — Puck; Zofia Żytka — Sława.

ANPB − GRO = IRY
: + +
AG × RZ = BZI
YR − GPG = OAZ

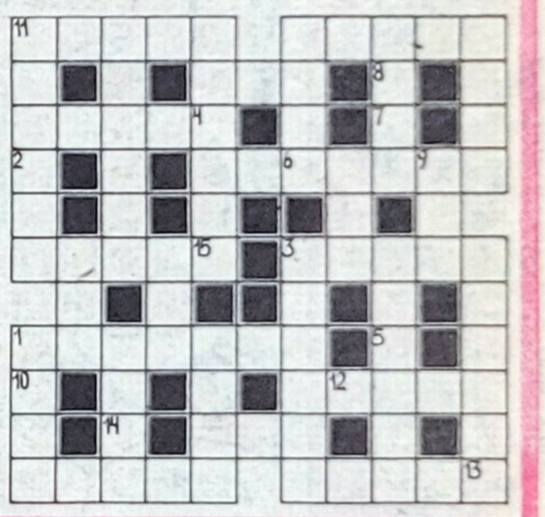

A oczy! Jakże mądrze po ludzku patrzą na piękną górską krainę.

Idąc porusza głową to w prawo, to w lewo. Cóż to za dostojny, majestatyczny chód!

Rzeczywiście! Coś poruszyło się na skraju lasu. Runo rzucił się do zagajnika. Zatrzymał się przed zaroślami. Stał tam człowiek z powrozem w ręku.

Runo zaszczekał. Człowiek rzucił mu pod łapy duży kawał wonnej kiełbasy.

Runo umilkł. Spoglądał to na kiełbasę, to na człowieka. Człowiek wyciągnął rękę z powrozem.

—Na, Runo, na!

Runo przypadł do ziemi i wolno, ostrożnie zaczął czołgać się do kiełbasy. Był czujny, nie dowierzał obcemu. Wciąż jednym okiem na niego łypał.

W nosie mu wierciło. Jaki przyjemny zapach. Takiej rozkoszy, póki żyje, nie zaznał.

Nie wytrzymał. Przyczołgał się bliżej i porwał kiełbasę. W tej chwili nieznajomy zarzucił mu pętlę na szyję i mocno zacisnął. Pies chciał zaszczekać, zawyć, zaskomleć, wezwać pomocy pasterza Miszki. Chciał złego człowieka ugryźć, ale nie mógł się ruszyć, ani otworzyć pyska. Obcy powlókł go do lasu.

Tutaj uścisk pętli trochę zelżał. Runo zaczął swobodniej oddychać. Bez namysłu całą siłą rozpędu rzucił się do nóg Salobira, powalił go na ziemię, ugryzł w biodro. Salobir nagle zobaczył wszystkie gwiazdy w biały dzień.

— Ach, ty, diabelskie nasienie! — jęknął.

Zerwał się, złapał gruby kij i z całej siły uderzył psa, który wściekle warczał i po raz drugi rzucił się ku niemu. Niewiele brakowało, a znów by go powalił. Salobir ledwo trzymał się na chudych nogach.

Co za kły! Co za ślepia!

Salobir zamarł. Gdyby pies wskoczył mu na plecy i wpił się tymi kłami w kark... Żegnaj, Salobirze! Nigdy już nie oglądałbyś słońca. Nawet wilkołak nie ma takich kłów, nawet głodne wilczysko nie patrzy tak dziko, myślał Salobir.

Szybko zaciągnął pętlę na szyi psa.

Runo znów musiał się poddać. Wlókł się za napastnikiem, opierał się, co sił, ale w końcu musiał ulec i iść za człowiekiem, bo powróz tak mocno ściskał mu szyję, że aż zapierało dech. Salobir zaczął mu wymyślać:

— Ty, bestio! Po licho tak głupio się bronisz? Przecież będziesz żył jak hrabia, mieszkał w pięknej wilii w Zagrzebiu, fertyczne pokojówki i lokaje w pięknej liberii będą ci usługiwać. Głupio, oj głupio się bronisz.

Runo pierwszy raz nagle poczuł, że nie jest już wolny, że jest spętany. Dotąd biegał sobie po halach wolny jak ptak. Tak, czasami pasterz Miszko złapał go za kark. Mocowali się. To były piękne czasy.

— Musisz się nauczyć — mówił Miszko. — Musisz umieć walczyć z wilkiem, kiedy będzie próbował porwać ze stada owieczkę. Nie wolno bać się. Jesteś silny, zuch z ciebie, Runo, drugiego takiego daleko by szukać.

Innym razem obiecał mu, że na jesieni dostanie żelazną obrożę — kolczastą, nabijaną ćwiekami, żeby wilk nie mógł złapać go za kark. Runo nie rozumiał pasterza, ale wiedział, że mówi mu o czymś pięknym, że mu dobrze życzy, że go bezgranicznie kocha. Dlatego on też kochał Miszkę. Tak bardzo go kochał, że w razie potrzeby oddałby życie za niego. A umiał okazywać mu miłość. Spełniał każdy jego rozkaz, i to natychmiast, chociaż Miszko nigdy go tego nie uczył.

— Ej, Runo, ty śpiochu sakramencki, nie widzisz, że czarnula poszła za daleko? — rugał go pasterz.

Runo łypnął okiem i w susach popędził z góry w dół, do lasu i zawrócił czarną owcę do stada. Jeżeli owieczka od razu nie usłuchała, delikatnie trzepnął ją łapą w ucho, a jeżeli i to nie pomogło, klapnął zębami, ostrożnie, żeby jej nie ugryźć. W końcu musiała ulec. W ogóle Runo był bardzo posłuszny. Wieczorem dzielił ze swym panem — Miszkiem nędzną kolację, często skąpo okraszoną mamałygą, ale obficie polaną słodkim mlekiem.

Runo miał swoją miskę, do której pasterz drobił mu mamałygę i nalewał mleka. Runo zawsze zjadał swoją porcję, zanim pasterz zdążył zjeść swoją. Siadał więc na tylnych łapach i grzecznie, wstydliwie prosił o kęs mamałygi, tylko o jeszcze jeden... Bo wiecznie był głodny. Siadał opodal Miszki i uważnie śledził każdą podnoszoną przez niego do ust łyżkę mamałygi...

— Runo, ty żarłoku zatracony! Mnie pewnie też byś zjadł — żartował pasterz i rzucał ulubieńcowi wysoko w górę kawałek mamałygi, i jeszcze jeden, a czasem jeszcze jeden. Runo wtedy zrywał się, wspinał się na tylne nogi, skakał do góry i łapał w powietrzu smakowity kąsek.

C. d. n.

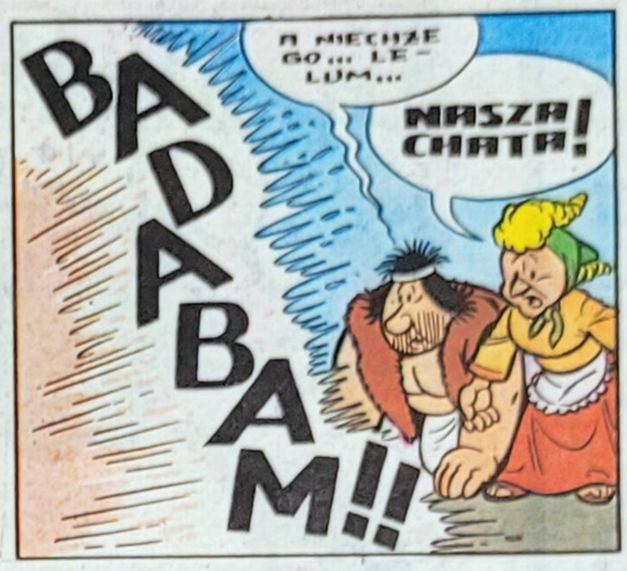

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-501 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchólska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Opracowanie graficzne: M. Teodorczyk

Redakcja techniczna: H. Żochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 110-5863 B-37

Nr Indeksu — 33039/33048

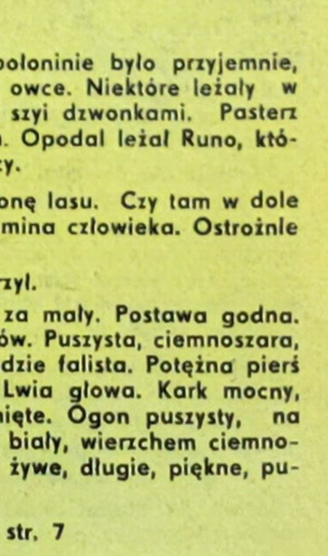

2. A gdybyśmy próbowali dostać psa innym sposobem? — wmieszał się do rozmowy Grubisza.

— Co pan ma na myśli? — zapytał Żagar.

— Ano... uprowadzić, ukraść...

— Ukraść?! — zdumiał się Żagar i odpowiedział ponuro, twardo:

— Nie! To byłoby okrutne!

Dr Matanić też sprzeciwił się kategorycznie kradzieży.

— Nie, żadną miarą — nie! Wolę wrócić do Zagrzebia z pustymi rękami.

Z kolei zwrócił się do Żagara:

— Dzisiaj po południu albo jutro rano obejrzysz psy, któreście wybrali.

— Dobrze, proszę pana! — z tymi słowami Żagar wyszedł.

W pokoju, pełnym dymu z papierosów i fajki, pozostali adwokat i Grubisza.

— Wie pan, panie Grubisza, ten wasz Żagar wydaje mi się zbyt uczuciowy, za mało zdecydowany. Nie ma pan tu nikogo, kto gotów byłby namówić tego upartego pasterza?

Po namyśle Grubisza rzekł:

— Hm... Właściwie jest tu jeden taki robotnik, łobuz, który może by coś wymyślił. Kilka razy już siedział za kradzieże, bójki i inne wykroczenia. On ma smykałkę do handlu. Nazywa się Salobir.

— Proszę zawołać tego człowieka. Może się dogadamy.

— Zaraz go sprowadzę.

Grubisza wyszedł. Adwokat wziął ze stołu jakiś tygodnik zagrzebski.

Grubisza długo nie wracał. Salobira znalazł się w lesie. Z kwadrans z nim rozmawiał. Najwidoczniej układali jakiś szatański plan.

Salobir był wysoki i chudy. Jego głowa, u góry rozszerzona, chwiała się na wyjątkowo długiej szyi. Szeroką łysinę okalały lśniące, trochę kędzierzawe włosy.

Gdy Salobir wszedł za Grubiszą do kancelarii, nisko ukłonił się adwokatowi. Grubisza kazał mu usiąść.

— Salobir — zaczął mecenas. — Czy zgodzilibyście się za odpowiednim wynagrodzeniem namówić tego starego pasterza, żeby mimo wszystko sprzedał mi swego Runa?

— Bardzo chętnie, proszę pana — uniżenie odparł Salobir. — Właściwie niezbyt lubię psy, ale Runo to naprawdę piękne psisko. Nieraz już mnie kusiło, żeby potargować się o niego.

Pan Matanić położył przed nim banknot tysiącdinarowy.

— Macie tu tysiąc. Jeżeli uda wam się dostać psa taniej, różnica będzie wasza. Później czeka was jeszcze nagroda.

— Nagroda?

— Dwieście pięćdziesiąt dinarów, jeżeli pies będzie tu dziś wieczorem.

— Dobra! — roześmiał się Salobir i mocno uścisnął rękę adwokata.

Grubisza uśmiechnął się drwiąco.

Słońce mocno przygrzewało. Na połoninie było przyjemnie, chociaż za gorąco. Dokoła pasły się owce. Niektóre leżały w cieniu. Barany dzwoniły wiszącymi u szyi dzwonkami. Pasterz Miszko drzemał sobie przed szałasem. Opodal leżał Runo, który nie spuszczał z oka owiec i okolicy.

Wtem podniósł się, popatrzył w stronę lasu. Czy tam w dole coś się nie poruszyło? Coś, co przypomina człowieka. Ostrożnie ruszył naprzód.

Nic nie ma... A jednak! Coś zwietrzył.

Piękny pies. Nie za duży, ani nie za mały. Postawa godna. Chyba ma ze sześćdziesiąt centymetrów. Puszysta, ciemnoszara, lśniąca sierść, dość długa, gdzieniegdzie falista. Potężna pierś i przednie łapy białe, kędzierzawe. Lwia głowa. Kark mocny, szeroki. Długie uszy, obwisłe, zarośnięte. Ogon puszysty, na końcu podwinięty do góry, od spodu biały, wierzchem ciemnoszary. Gdy biegnie, jakby ścigało go żywe, długie, piękne, puchate zwierzątko.

Dokończenie na str. 7